

Słowem w czołgi – nie dla wojny!

RELACJA: Dźwięki Słów 2022

Kiedy żyje się w czasach pokoju wszelka sztuka wydaje się czymś z samego szczytu piramidy potrzeb, luksusem, który zażywa się gdy mamy już wszystko inne, na co trzeba wygospodarować czas, z trudem wydarty codziennym obowiązkiem. Paradoksalnie jednak okazuje się, że im czasy cięższe, tym poezja bardziej się przydaje. Ubiera w słowa to, na co trudno patrzeć, wyraża to, co każdy myśli, a nie potrafi wypowiedzieć. A gdy dołączyć do niej muzykę i uczynić z niej spektakl, tegoroczne hasło “Nie dla wojny” wybrzmiewa głośniejszym niż najgłośniejszy krzyk.

Jacaszek & Budzyński – szarża z Armią na Legendę

Rok 1984 – i wbrew pozorom nie chodzi tutaj o kultową książkę Orwella, a o inną legendarną (sic!) formację. W tym właśnie roku spotkali się **Robert Brylewski (Robin)**, **Sławomir Gołaszewski (Merlin)** i **Tomasz Budzyński (Tom)** tworząc jeden z czołowych zespołów sceny niezależnej lat 80., który na scenie międzynarodowej zasłynął albumem “Legenda”. Schyłkowy PRL, okoliczności najbardziej hippisowskie, jakie można sobie wyobrazić – w komunie w maleńkiej wsi w warmińsko-mazurskim jeden ukrywał się przed poborem do wojska, drugi szukał dla siebie miejsca, jeszcze inny zabrał ze sobą całą rodzinę. Dość powiedzieć, że koniec końców zamieszkały tam niemalże całe ekipy dwóch zespołów – Armii i Izraela. W tych niecodziennych warunkach życia o kompletnie innym rytmie, blisko natury narodził się ten znakomity przykład polskiej alternatywnej sceny niezależnej tamtych czasów.

Choć pierwotny skład Armii rozpadł się już dawno po rozmaitych zakątkach muzyki mniej lub bardziej rozrywkowej, to ta konkretna płyta zapisała się w historii i nieustannie inspiruje kolejnych artystów. O jej reinterpretację po przeszło ćwierć wieku od premiery pokusił się jeden z najciekawszych polskich twórców “modern classical” i tzw. nowej elektroniki – **Michał Jacaszek**. Zaprosił do współpracy perkusistę **Kubę Świątkę**, klawecistę **Jerzego Mazzola**... I w końcu samego Toma, który pojawił się na scenie razem z nimi. Ciekawe było to połączenie, usłyszeć punkowy wokal Budzyńskiego śpiewający takie hity jak “Gdzie ja, tam będziesz ty”, “Legenda” czy “Opowieść zimowa”, lecz w towarzystwie nieoczekiwanych brzmień wręcz postindustrialnych i energetyzujących bębnow. Michał Jacaszek specjalizuje się w trudnych połączeniach, spotkaniach na rozdrożach gatunków i współpracach – chętnie łączy dźwięki preparowane elektronicznie z żywym instrumentarium, często też tworzy z artystami wizualnymi, choreografami, fotografami czy reżyserami. Wie, jak doprawić swoją muzykę tym jednym, innym, obcym elementem dostosowując się do innego artysty. Dla przykładu – charakterystyczny efekt “ściany dźwięku”,

którą w oryginale zapewniał specyficzny sposób miksowania ze sobą ścieżek w postprodukcji (polegający na nagrywaniu instrumentów i późniejszym zwielokrotnianiu ich brzmienia co podbija gęstość) pojawił się i w tym wykonaniu - choć osiągnięty kompletnie inną metodą to nadal wyczuwalny, momentami wręcz przytłaczający. W ten sposób podczas tego spotkania na żywo powstaje coś zupełnie niepowtarzalnego.

Emose Katarzyna Uhunmwangho - „Baśniowe skrzypotrąby i czary Baltasary”

Bajkowy rollercoaster - to jedyne słowa, które przychodzą mi na myśl, kiedy myślę o koncercie Emose i towarzyszących jej muzyków (**Beata Wołczyk, Joanna Trzaska, Jacek Berg, Emilia Danilecka, Dariusz Wołczyk, Piotr Hałaj**). Repertuar został dobrany tak, żeby słuchacz za nic nie domyślił się, co czeka na niego za rogiem. Przez chwilę to koncert oniryczny, baśniowy, pełen magii i ludowych wierzeń, za moment, gdy czujność zostanie uśpiona znienacka nadchodzi pieśń tak bolesna, jakby dusza się rozdarła i zanim zdążymy się pozbierać znów wraca do delikatności, lub momentami wręcz figlarności.

Największe wrażenie zrobiła na mnie piosenka o wojnie. Zapetlone “ludzie, nie strzelajcie, przecież tam są ludzie, ludzie, nie strzelajcie...” tkwi mi w głowie do tej pory.

- W wykonanie wchodzi zawsze jest na 100 procent, bo dystans w czymkolwiek jest dla mnie kompletnie bez sensu - mówi **Emose**.

- Kasia jest naszym motorem - dodaje **Beata Wołczyk**. - Kiedy ona się zanurza w utworze to ciągnie nas za sobą i my podążamy. Tu nie ma miejsca na półśrodki. Na przykład ta piosenka o wojnie jest całkowicie autentyczna, tekst powstał na długo wcześniej, ale niestety nadal jest na miejscu... Zawsze się niej wzruszamy, trudno jest nam się nie rozplakać. Tyle emocji, tyle przeżyć w jednym miejscu.

Obok niezwyklego talentu wiodącej wokalistki, aktorki Teatru Muzycznego Capitol we Wrocławiu na pierwszy plan jako główni bohaterowie wysuwają się skrzypotrąby - instrument zupełnie niezwykle, o szorstkim brzmieniu, a także same wyżej wspomniane słowa.

- One są dla nas niezwykle istotne, wyrażają mnóstwo emocji, a muzyka to ich dopełnienie, równowaga. W ten sposób komponujemy wszystkie utwory, najpierw na pierwszym planie jest słowo - mówi **Emose**, która jest również autorką większości tekstów wykonanych utworów. - “Nie dla wojny” to dla nas oczywista oczywistość, zawsze nam to przyświecało.

- To prawda, że jesteśmy teraz w takiej a nie innej rzeczywistości, jednak przede wszystkim przyświeca nam pokój, na niego liczymy. To chcemy oddawać w naszej muzyce - dodaje **Beata Wołczyk**.

Natalia Sikora – intymny manifest

“Była sobie kiedyś taka dziewczyna – była, jest i będzie – grzeczna–niegrzeczna, która dawała ludziom kawałki swojego serca” – tymi słowami **Natalia Sikora** zakończyła swój recital tuż przed finałowym wykonaniem Janis Joplin. A ja tymi słowami zacznę, bo pasują one nadspodziewanie dobrze nie tylko do wspomnianej legendy bluesa.

“Kawałki serca” (w świetle powyższego cytatu ten tytuł już wcale nie dziwi) to jeden z tych koncertów–doświadczeń zupełnie najintymniejszych. Im dalej w pieśń tym mocniejsze słuchacz ma wrażenie obcowania z czymś absolutnie prywatnym, wydzieranym z najgłębszych zakamarków duszy i ciała artystki. I jednocześnie ma się ochotę taktownie oczy odwrócić i nie zamykać ich ani na chwilę, nie można wzroku oderwać. Jej wykonania wyglądałyby identycznie gdyby na Sali Widowiskowej CK była zupełnie sama – bo ten recital to coś dla niej i o niej. Cofa się w nim wstecz i przeprowadza siebie samą raz jeszcze przez kolejne stadia swojego życia, w których towarzyszyły jej różne utwory. Raz rozsypuje się w drobny mak i powstaje jak feniks z popiołów, raz figlarnie puszcza oczko i tańczy tango, raz niemal płacze, raz śmieje z samego dna ciała. Towarzyszą jej w tej podróży **Mario Jeka** (klarnety), **Hadrian Filip Tabęcki** (fortepian), a także Ewa Demarczyk, Edith Piaf, Zbigniew Herbert, Witkacy, Zofia Ginczanka... I my. Jako przygodni obserwatorzy, ludzie, którzy zupełnie przez przypadek dostali kawałek cudzego serca.

Marta Mazurek – srebrzysty syreni śpiew

Wchodzi na scenę ubrana na biało, bocznym wejściem, po murku, sobie tylko znaną drogą, białutka, eteryczna, niemal przezroczysta. Śpiewa przesłodkim głosem o rzeczach, które ze wszech miar ani słodkie ani łatwe nie są. Martę Mazurek poznałam po raz pierwszy przy okazji “Córki dancingu” i od tej pory była dla mnie stuprocentową *selkie* – okazało się, że na żywo to wrażenie jest jeszcze mocniejsze.

- Córki dancingu to mój absolutnie ukochany film, całe moje serce w nim jest. Od dziecka syrenki były mi bardzo bliskie, często się z nimi utożsamiałam i to, że później zagrałam w takim filmie jedną z nich – to dla mnie czyste przeznaczenie – śmieje się Marta.

Jednak tym razem “śpiewająca aktorka”, jak sama siebie określa, skupiła się bardziej na muzyce i stworzyła recital w towarzystwie Katarzyny Kapeli Timingeriu (instrumenty perkusyjne, skrzypce), Bartłomieja Mazurka (piano) Franka Wicke (bas) i Marii Klich (lira korbowa). Ta ostatnia szczególnie przyciągnęła moją uwagę, jako osoby zafascynowanej starosłowiańskim folklorem.

- Pokochałam lirę, to dla mnie instrument, który gra całym sercem, ten dźwięk jest pochodzi z jej najgłębszego wnętrza. Cała muzyka w ogóle jest dla mnie

czymś “o” wewnątrz - mówi artystka. Kiedy zapytałam jej czy bardziej utożsamia się ze “śpiewającą aktorką”, czy z “grającą śpiewaczką”, odpowiada bez wahania:

- W moim życiu zawsze pierwsza była zdecydowanie muzyka. Pochodzę z rodziny, w której to było coś bardzo obecnego. Właściwie jeszcze zanim zaczęłam mówić to już śpiewałam! - śmieje się.

To ten rodzaj ekspresji jest jej najbliższy, towarzyszy jej od dziecka i w nim najmocniej chce się w tej chwili realizować. Lubelska publiczność przyjęła ją bardzo ciepło, wyciągając na scenę aż trzy razy, by w końcu przekonać ją do bisu. Połączenie jej delikatnej, ale mocnej ekspresji artystycznej ze *stricte* wojenną tematyką tekstów wywarło piorunujące wrażenie na słuchaczach.

- Dla mnie to jest jasne - tekst piosenki ma mówić o emocjach, przeżyciach, nie interesuje mnie nic innego. To po to ona jest - tłumaczy.

I tak ten koncert zapamiętam - wypowiedział niewypowiedziane.

Marek Dyjak - gorzka pigułka ze słów

Tego pana przedstawiać nie trzeba nikomu - powiedzieć, że Marek Dyjak ma w Lublinie grono wiernych fanów to nie powiedzieć nic. Wirydarz Centrum Kultury był wypełniony po brzegi ludźmi, roziskrzonymi energią i śpiewającymi na cały głos “*masz do skrzydeł przywiązaną złotą rybę, jeśli ty odfruniesz serce jej przestanie bić*”. Mówią o nim “barowy grajek”, “facet śpiewający o miłości”, robotnik, który w pewnym momencie podjął decyzję o zwrocie w zupełnie innym kierunku.

Życiorysem Dyjaka można by zapełnić wielotomową biografię, jednak czasami wystarczy tylko posłuchać piosenek - i już wszystko jasne. Z tego, jak sam nazywa, “polskiego fado” na pierwszy plan przebija smutek - nostalgiczny, sentymentalny, pełen posmaku przeszłości, który został na krawędzi warg. To nie przypadek, a odbicie duszy - w wywiadzie z Pawłem Piotrowiczem artysta przyznaje: “*jestem sentymentalistą absolutnym, mam taką naturę i pielęgnuję ją w sobie. Nie ma we mnie energii, która każe mi podskakiwać, ale jakoś specjalnie się tym nie martwię. (...) Jeszcze ten chłopiec w Dyjaku jest, ale przykryty trochę, muszę przyznać, cynizmem naszych czasów*”. I w ten sposób, czerpiąc z tego nostalgicznego źródła jego chropowaty, charakterystyczny głos wyplata słowa, w których płyną krew, żółć i łzy. Tym razem za klawiszami towarzyszył mu Mateusz Kołakowski, pianista regularnie koncertujący w Stanach Zjednoczonych i stypendysta Berklee College of Music w Bostonie. Towarzyszyła mu także inna legenda polskiego grania - Lech Szczerba na saksofonach.

Każdy dzień Dźwięków Słów był niezwykle zbilansowany i przynosił ze sobą najrozmaitsze wrażenia, które przeplatały się ze sobą jak w kalejdoskopie. W obliczu wojny, która *volens nolens* stała się główną osią, wokół której festiwal się poruszał, i idącej za nią śmierci życie nagle nabrało niezwykle wyrazistego smaku. I tak minęły wieczory i poranki, ale “Nie dla wojny” zostanie z Lublinem jeszcze na długo.

Anna Viljanen – freelancerka, dziennikarka i fotografka, laureatka konkursu na najlepszy reportaż z Nocy Kultury. Beznadziejnie zakochana w Lublinie. Prowadzi Inkopodcast oraz tworzy retrofuturystyczne grafiki jako @inkowave.